

Wojciech Tomczyk: Teatr polityczny

Kiedy ktoś opowiada dziś w towarzystwie dowcip zahaczający o politykę, jest on na ogół żenujący. Satyra polityczna jest żalosna i ledwo, ledwo dycha. To, co w systemie komunistycznym kwitło, w demokracji upada. Taka jest naturalna kolej rzeczy – pisał Wojciech Tomczyk.

Włóczy się człowiek to tu, to tam, aż zabrnie gdzieś czasem, do jakiegoś celu. Przytrafiło mi się trafić na zgromadzenie ludzi teatru. I to na zgromadzenie nieprzypadkowe. Kilka mądrych osób mówiło szczerze, co sądzi o teatrze lat dawno minionych, porównując go czasami z teatrem dzisiejszym. Pozostali zebrani słuchali, jak zwykle bywa w takich razach, uważnie. Nagle stało się coś dziwnego. Jeden z mówców zaczął mówić o współczesnym polskim teatrze politycznym. Zacząłem słuchać jeszcze pilniej, żeby nie uronić ani słowa. Nie jestem wprawdzie wytrwałym i uważnym obserwatorem życia teatralnego w Polsce (ani nigdzie indziej), lecz wydaje mi się, że gdyby dziś istniał w Polsce teatr polityczny, to coś bym o tym musiał wiedzieć. Mówca tymczasem najwyraźniej uznawał istnienie teatru politycznego w naszym kraju za pewnik niewymagający dowodu. Teza, że w Polsce są wystawiane przedstawienia teatralne wpisujące się w debatę publiczną, wydała mi się szokująca. Mówca zresztą posunął się jeszcze dalej. Wysnuł misterną analogię z sytuacją z lat siedemdziesiątych czy osiemdziesiątych, kiedy teatr był w istocie polityczny. Rzeczywiście, wówczas polityka była podstawowym tematem teatru, przynajmniej jego głównego nurtu. Spośród wybitnych twórców ówczesnego teatru

stronili od polityki bardzo nieliczni. Większość artystów teatru uznawała za istotną część swojej misji artykułowanie poglądów i opinii niedopuszczanych do publicznego obiegu. Teatr był w tych latach miejscem formującym polską inteligencję, co do tego nie ma dwóch zdań. Nie był oczywiście żadną oazą wolności słowa – cenzura, policje tajne, jawne i dwupłciowe były w stanie zdjąć czy zmasakrować każde przedstawienie. Ale wiele spektakli miało bardzo wyrazistą wymowę polityczną. Sztuka uprawiana na serio, którą wówczas był teatr, nie jest taka łatwa do dogonienia przez łapsów. Pamiętamy zresztą wszyscy, jak musiał się nagimnastykować myśliciel wielkiego formatu, aby dowieść, że Adam Mickiewicz nie był i nie będzie sztandarem reakcji. (Ciągle zresztą nie rozumiem, o co myślicielowi chodziło. I raczej już się tego nie dowiem). Trudno było też dowieść, że pisarzami antykomunistycznymi bywali klasycy greccy. Szczególnie antyradziecko byli nastroszeni Arystofanes i Sofokles. Teatr posługujący się metaforą, alegorią czy aluzją święcił zasłużone triumfy. Teatr poruszał niewygodne dla władzy komunistycznej tematy historyczne. Przypomnę, że w tamtych czasach 11 listopada był dniem bardzo roboczym, a próby jego świętowania były tłumione w zarodku. To w teatrze lat siedemdziesiątych pierwszy raz po 1945 roku pojawiła się postać Józefa Piłsudskiego. I to w roli bohatera pozytywnego. Artykułowanie sprzeciwu wobec totalitaryzmu było zajęciem może nie niebezpiecznym, ale na pewno niewygodnym, lecz większość wybitnych ludzi teatru uznawała, że obrona tożsamości narodowej, obrona tego, co zostało z wolności jednostki, jest ich obowiązkiem. Stawali w obronie praw podstawowych wspólnoty, do której należeli. Jednocześnie utwierdzali ludzi krytycznie nastawionych do reżimu, że nie są sami. Teatr mówił tym ludziom, że wbrew temu, co od rana do wieczora melodyjnie wyśpiewywały prasa, radio, telewizja, nie wszyscy są fanami towarzysza Gierka, a także pozostałych P.T. towarzyszy.

Oczywiście w totalitaryzmie wszystko albo prawie wszystko ma znaczenie polityczne. Wszystko, co dzieje się publicznie, także każde widowisko, niesie ze sobą określoną treść polityczną. Wygwizdywanie sowieckich sportowców było rozpowszechnionym rytuałem we wszystkich krajach bloku. Powstawały i żywo krążyły dowcipy polityczne. Niektóre z nich były naprawdę zabawne.

Dziś jest na szczęście inaczej. Kiedy ktoś opowiada w towarzystwie dowcip zahaczający o politykę, jest on na ogół żenujący. Satyra polityczna jest żałosna i ledwo, ledwo dycha. To, co w systemie komunistycznym kwitło, w demokracji upada. Taka jest naturalna kolej rzeczy. Nikt nie gwizdza na rosyjskich kolarzy czy piłkarzy. Nikt nie słucha, ani nie zagłusza zagranicznego radia, mało tego, to radio, przynajmniej z zagranicy, już nie nadaje. Nie ma cenzury. Wobec tego pojawienie się teatru politycznego, takiego, jaki pamiętają starsi, a młodszy umieją sobie wyobrazić – teatru przemycającego treści nieobecne i niedopuszczone do publicznego obiegu, jest raczej niemożliwe. Mamy wolność słowa, korzystamy z niej do woli, nie ma powodu, aby teatr przemycił jakieś treści, nie ma już aluzji. Gdyby teatr musiał znów przemycać treści „wrogie”, odkrywać „białe plamy”, byłby to poważny sygnał choroby toczącej polską demokrację.

Nie mogę wykluczyć, że dzisiejszy „teatr polityczny”, który ów mówca miał na myśli, to teatr propagujący poglądy polityczne takiej czy innej grupy, poglądy jak najbardziej obecne w życiu publicznym. Taki teatr polityczny nie ma oczywiście nic wspólnego z teatrem politycznym czasów schyłkowego peerelu. Teatr politycznej agitacji w schyłkowej komunie praktycznie nie istniał. Był natomiast żywy w okresie

instalowania przodującego ustroju w naszym kraju, w latach czterdziestych i w pierwszej połowie lat pięćdziesiątych. Dla porządku przypomnę, że okres ten nazywany jest stalinizmem.

Wojciech Tomczyk

Ilustracja: Michał Strachowski